

Oko wykol!

Na wystawę prac Mateusza Wosia w Galerii Szklarnia Szkoły Filmowej wchodzi się właśnie z latarką. I trafia do labiryntu z czarnej folii, by wyrwanymi w niej przejściami przemykać w kolejne mroczne zakątki. Jest jak w grobowcu, jak w horrorze, a raczej – jak na horrorze, bo tak jak wtedy, gdy oglądamy film, boimy się tylko symbolicznie, przecież znajdujemy się w bezpiecznym miejscu i nic nam nie grozi. Chociaż nie – w tym przypadku właśnie grozi. Zło świata, zło w człowieku dotyka nas wszystkich.

Już obrazki oglądane tuż po wejściu budzą niepokój – mrówki, larwy, modliszki, ptaki, jeź rysowane suchą pastelą na sposób prymitywny, jakby chory psychicznie człowiek obrazował swoje lęki (takie są rysunki Wosia na kartonikach, głównie czarnych, wielkości pocztówki). Ale z każdym krokiem okazuje się, że ów początek jest zaledwie subtelnym preludium. To mikrokosmos, który jeszcze ma szansę istnieć, jeszcze nie został zniszczony przez człowieka. Choć już tu pojawia się wizerunek diabła. W drugim cyklu robi się naprawdę mrocznie. Człowiek z głową drapieżnej larwy albo prawie bez twarzy, związana kobieta ma worek na głowie, a przestarzały monitor ogłasza „black out”, awarię zasilania. Malutki człowiek wypełnia swoim ciałem słoik z formaliną – jest jak eksponat z muzeum przechowującego ślady wymarłych gatunków. Nawet gdy trafiamy na sielski obrazek z domkiem, z bliska okazuje się, że domek płonie. Gdy człowiek się uśmiecha, jest to uśmiech upiorny. Trzy świnki czekają na rzeź, a obok wiszą kurze tuszki gotowe do kuchennej obróbki.

Koszmar trwa. Nagle wchodzimy do czyjegoś domu. Nadal ciemno. W pokoju stół, lampa, fotele (wszystko stare, brzydkie i zapyziałe), a w jednym z nich paskudny manekin-domownik. Grozę potęgują martwe, wypchane ptaki (jeden z przekreśloną nienaturalnie głową) i coś najokropniejszego – stwór jak dzieło doktora Frankenstein, uszyty z futra zwierzęcia, bezkształtny, choć ma nogi i coś w rodzaju zadrutowanego pyska. Na środku stoi malutki telewizor z animowanym filmem Wosia. W nim wojna na mapie, a w kolejnych ujęciach m.in. majak z rysunkowymi dziecięcymi twarzami o wielkich naiwnych oczach, które rozglądają się na boki i drżą. Na finał projekcji – animacja z ulepioną postacią, która morduje ptaka, po zabija ją spadająca szyszka. To Wosiowa wersja Edenu, który jest zarazem początkiem i końcem człowieka. Jak w Starym Testamencie – oko za oko. Gdyby tak się zdarzyło, zło drzemiące w człowieku – ten nasz grzech pierworodny – nie mogłoby się rozprzestrzenić.

Na ścianach pomalowanych wzorzystym wałkiem wiszą obrazki Mateusza Wosia, a na nich myśliwi, strzelby, zaszczute zwierzęta z celownikiem na łbach, wilk w klatce, ludzki płód, czerwone grzyby. Para starszych ludzi trzyma się za ręce, jedna z nich ma na szyi krzyżyk. To wstęp do kolejnej serii: z Madonną płaczącą krwawymi łzami, Chrystusem zdjętym z krzyża i leżącym na podłodze z jeszcze rozpostartymi ramionami, z ołtarzem, członkami Ku-Klux-Klanu, ze skrzywionym kręgosłupem i psem robiącym „wrrrr”. Czy diabeł, który wielokrotnie pojawia się na rysunkach, jest zewnętrzną złą mocą, która sprowadza ludzkość na manowce, czy może to sam człowiek jest diabłem? Anioł z gołymi pośladkami atrakcyjnej kobiety zapowiada rozdział o prymitywnej seksualności.

Ale to już w następnym pomieszczeniu, mniej domowym. Tam było upiornie, tu jest surowo jak w piwnicy, w której czyha zło. Na ścianach zaschły smugi brudnej wody. Na stole tarka, tłuczek, młynek – kuchenne przyrządy jako narzędzia tortur? Na rysunkach wiszących na ścianie dręczeni ludzie, zdefragmentowana głowa, krzyk, labirynty. A zaraz – też na rysunkach – panie-objekty w bieliźnie i psy warczące na siebie nad pełną miską. Ostatnie pomieszczenie poraża. Z sufitu zwisa świecąca jasno żarówka, na ścianie duży rysunek paszczy potwornej larwy (?), a naprzeciwko płama po człowieku. Został tylko jego zarys, a nawet i to próbowano zmyć gąbką. Tu już nie ma innych

rysunków, nie ma nic do dopowiedzenia. Koniec.

Po drodze, w bocznych uliczkach foliowego labiryntu, wśród przemocowych prac kryją się też rysunki bez agresji, pozwalające na wzięcie głębszego oddechu: inspirowane kulturą Dalekiego Wschodu, niesamowite, „nabazgrane” portrety nie wiadomo kogo, górskie krajobrazy, polarne obrazki. Są też popkulturowe „mruknięcia okiem”: żółty półksiężyc-banan z uśmiechem i dłonią jak od Myszki Miki, krasnoludek, gwiazdor z gitarą, celebryta w modnych okularach. Ale i słowa „delete” i „error”. Czy to wszystko przeznaczone jest na straty? Naprawdę nieprzyjemny jest korytarz z kolejnym bezkształtnym stworem zszytym ze skór zwierząt wylaniającym się spośród suchych gałęzi.

Przemoc to główny temat twórczości Mateusza Wośa - to, co człowiek może zrobić drugiemu człowiekowi, zwierzęciu, krajobrazowi. Tego boi się autor, tego boimy się wszyscy. Młody artysta - pochodzący z Suwałk student V roku fotografii w Szkole Filmowej - znalazł sposób na przekazanie lęku, zła, brzydoty, grzechu. Proste, „dziecięce” rysunki są adekwatne do tematu. Wyrafinowane cyzelowanie byłoby tu nie na miejscu. Prosty strach i proste emocje wymagają surowej formy. To trochę wywrotowe, że wykształcony twórca operuje „nieudolnymi” kształtami. Ale jego rysunki tylko wyglądają na prymitywne. Mateusz Woś umie rysować, panuje nad formą, jest w pełni świadomym twórcą. Do tego myśli całościowo - na emocje działają nie tylko pojedyncze prace, ale przede wszystkim cała wystawa z jej porażającą scenografią, z gęstą ciemnością i niepokojącym dźwiękiem.

Pozostajemy z pytaniem: na ile pokazywanie przemocy jest przestrożą, zmuszeniem do pogłębienia refleksji, a na ile samo jest przemocą - i koło się zamyka...

** słowo pożyczyłam z reportażu Jacka Hugo-Badera*

Aleksandra Talaga-Nowacka

Mateusz Woś „Wylęgarnia” - wystawa w Galerii Szklarnia Szkoły Filmowej, czynna do 31 stycznia 2020 r.